

Łukasz Maślanka: Ciocia Francja

Francuzi u Bobkowskiego są świadomi poniesionej porażki, choć głośno tego nie mówią



Francuzi u Bobkowskiego są świadomi poniesionej porażki, choć głośno tego nie mówią

Jestem romanistą z przekonania. Kocham Francję, jak kocha się własną ciocię. Tak, ciocię. Nie jest to uczucie równie głębokie i intensywne, jakim darzy się rodziców czy rodzeństwo, ale zawiera w sobie życzliwość, wdzięczność i dobre wspomnienia. W jego zdefiniowaniu pomogła mi lektura *Szkiców Piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego. Ich

pierwsza część – wspaniały opis podróży przez południe kraju w okresie przegranej kampanii czerwcowej roku 1940 – dostarcza mnóstwa celnych obserwacji na temat charakteru narodu francuskiego, który jest swoistym bukietem najwspanialszych zalet i najprzedziwniejszych przywar.

Francuzi u Bobkowskiego są świadomi poniesionej porażki, choć głośno tego nie mówią. Czasami kobiety są w stanie głośno wyartykułować opinię na temat walorów wojskowych swoich mężów („to tylko by jadło, spało i łażyło bez celu”). Jednak w głębi duszy zawieszenie broni budzi u wszystkich ulgę. Zamiast lamentować, wystawiać swoje rany na widok publiczny, zrzucac winę na nieroztropnych polityków, postanawiają wrócić do codziennego życia. Ich wielkość nie przejawia się w kawaleryjskich szarżach na czołgi ani w powodujących kolejne hekatombę partyzanckich zamachach na niemieckie wojsko. Wielkość Francji to siła doświadczenia, mądrość starego narodu, który wiele przeżył i chce resztę swoich dziejów spędzić w spokoju. Straszliwa rzeź I wojny światowej, rzeź, której czarne listy nieobecności można do dziś odczytywać na murach każdego francuskiego kościoła i na pomnikach każdego francuskiego miasta, stanowiła moment zwrotny. Swoisty próg emerytalny, poza którym trzeba już odpocząć. Od tamtej pory ciocia Francja postanowiła już tylko zajmować się własnymi dziećmi i tymi, którzy zapukają do jej drzwi. Dla niektórych będzie niegościnna i okrutna (haniebny udział rządu Vichy w deportacjach Żydów), ale większości przybyszów okaże schronienie i podzieli się z nimi tym, co ma. Zdarza się nawet, że tego i owego obroni przed bestialstwem niemieckiego okupanta, który w obecności sędziwej matrony postanowił stonować nieco swoje złowrogie metody działania.

Ciocia Francja ma dobrych i wiernych synów. Typowy Francuz jest jak ten mądry uczeń, którego Bobkowski spotyka w czasie rowerowego rajdu przez Alpy prowansalskie. Uprzejmy, uczynny, potrafi wyrazić rozsądny pogląd na otaczającą go rzeczywistość. W anty-angielskim temacie wypracowania maturalnego dostrzega machinację okupantów. Wyraża się z podziwem o generale de Gaulle'u, który „broni honoru Francji”, ale jednocześnie szanuje władzę marszałka Pétaina, „ratującego Francuzów”. Zamiast oceniać, wyzywać, wyklinać od zdrajców i zaprzańców, zastanawia się jak sam może przydać się państwu w trudnym dla niego okresie.

Przy wyjeździe z Carcassonne, Bobkowski i inni pracownicy fabryki, dla której pracował, otrzymują zaległe wynagrodzenia za okres wojny, podczas którego przecież nie pracowali. Autor tego niezwykłego dziennika zdradza swoje wzruszenie dla solidności i humanitarności Republiki. Wojna przegrana, „trudno, nie wyszło, macie chociaż to”. Można z tego wnioskować, że patriotyzm francuski i przywiązanie do zasad, którymi to państwo się rządzi jest aktem wyrachowania. Pewnie tak jest, ale czy to coś złego? Narody organizują się w państwa właśnie po to, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo: militarne, polityczne, gospodarcze, socjalne. Ich istnienie ma sens, dopóki się z tych ról wywiązują. Francuzom udało się takie państwo – nie bez wad i niedociągnięć – zbudować. I to właśnie chęć ochrony tego, co zbudowano, stała się głównym powodem tego, co w wielu środowiskach nazywane jest tchórzostwem czy dezercją.

Własność zachęca człowieka do życia statecznego i osiadłego. Zachęca jednocześnie do działania wtedy, gdy ktoś chce nam tę własność naprawdę odebrać. Podczas mojego pobytu we Francji nie mogłem

zrozumieć, jak społeczeństwo tamtejsze może z takim spokojem i potulnością akceptować nieustanne strajki sektora publicznego. Wytłumaczył mi to dopiero pewien towarzysz podróży, który, podobnie jak ja i wielu innych, zmuszony był do wielogodzinnego oczekiwania na zagwarantowany pociąg. Otóż powiedział mi on, że naród francuski ciężko pracował przez cały XX wiek na wszystko to, co stanowi o sile i atrakcyjności państwa: szybkie koleje, niezależność energetyczną (osiągniętą dzięki 19 elektrowniom atomowym zbudowanym kosztem ogromnych wyrzeczeń), system opieki socjalnej, przemysł kosmiczny i lotniczy, sprawnie działającą pocztę itd.. Gdy pojawia się rząd, który nagle chce to wszystko sprywatyzować, wielu ludzi czuje się okradanymi z dorobku pokoleń. Akcja związkowa nie ma zatem na celu walki o ciasne interesy tej czy innej grupy zawodowej, lecz stanowi obronę stanu posiadania. Wydaje mi się, że jest to poważny materiał do przemyśleń w roku, w którym rząd polski chce sprywatyzować towarowego przewoźnika kolejowego i wielki koncern energetyczny.

Moje uczucie dla cioci Francji jest tym większe, im bardziej jest ona nieszanowana przez niektóre środowiska w naszym kraju. Czytam ostatnio w pewnym opiniotwórczym tygodniku pełne *Schadenfreude* artykuły na temat porażki multikulturowego modelu integracji. Piszą je obywatele państwa, które nie jest w stanie zapewnić swoim dzieciom godnej pracy na swoim terytorium i wypycha je na emigrację. Śmieję się z cioci Francji za to, że jest naiwna i udziela gościny tym, którzy na nią nie zasługują. Z wyżyn polskiego dobrobytu i kulturowego bogactwa, potępiamy ciocię Francję za marnotrawienie duchowego dorobku.

Francja nie jest idealna. Tamtejsze przedmieścia czasami bywają naprawdę niebezpieczne (choć nie bardziej niż niektóre polskie osiedla), a warunki życia emigrantów nie są najlepsze. Dług publiczny wciąż rośnie, a system emerytalny zaczyna zdradzać oznaki niewydolności. Ale mimo wszystko Francuzi wciąż w zdecydowanej swojej większości wykazują się tolerancją. Są doskonale świadomi istnienia nierówności, które istnieją w rozwoju gospodarczym poszczególnych krajów. Ich system edukacji, stanowiący również przedmiot wielu krytyk, wykształcił w nich poczucie solidarności oraz chęć niesienia pomocy innym. Uważają za rzecz absolutnie naturalną, że część ich dochodów, tym większa, im są bogatsi, podlega redystrybucji na cele społeczne. Duch solidarności unosi się nad całym społeczeństwem i przekracza okopy politycznych podziałów. Jednoczy poczucie elementarnego zaufania do państwa i jego instytucji. Państwa, które chroni, cywilizuje i pozwala swoim obywatelom na godne życie i rozwój.

We wrześniu 1939 roku, władze Rzeczypospolitej opuściły swój naród w największej potrzebie. Nie mam zamiaru wdawać się tutaj w oceny wielkiego polityka, choć tragicznej postaci, jaką był Józef Beck, ani analizować intencji Mościckiego, czy Rydza-Śmigłego. Jest jednak coś niepokojącego w tym oderwaniu ideału państwa od społecznej bazy. Polski prezydent i polski rząd uznali, że w chwili straszliwej próby ich miejsce jest zagranicą. Że ich zadaniem jest ocalenie ideału państwa, które będzie istnieć jako symbol. Państwa w oderwaniu od cierpiącego narodu. Jak wspomniałem, chciałbym uniknąć radykalnych ocen i gorzkich wyrzutów, ale za każdym razem, gdy wyobrażam sobie to polsko-rumuńskie przejście graniczne, które odprawia najwyższych oficjeli upadłej II Rzeczypospolitej, to ogarnia mnie głęboki smutek. Władza mająca poczucie, że z ludu wyrasta, nie postąpiłaby w ten

sposób. Uznałaby, że jej naczelnym zadaniem jest reprezentowanie i obrona narodu przed agresorem. Być może udałoby się wynegocjować łagodniejsze warunki okupacji.

III Republika Francuska była państwem demokratycznym. Rząd wyłaniano w niej przez parlament, który w głosowaniu wskazał męża zaufania, mającego reprezentować naród przed zwycięzcą. Kolaboracja, choć nie pozbawiona momentów wstydliwych i zbrodniczych, udowodniła, że naród francuski ma prawo do zaufania w struktury, które wytworzył. Państwo, ta upokorzona i zwyciężona ciocia Francja, nie zawiodło nadziei swoich dzieci. Pozwoliło im, w swojej hańbie, schronić się za czymś bardziej realnym, niż tylko zespołem dążeń i hurrapatriotycznych projekcji. Dostrzegł ten problem i Bobkowski, nie ukrywający na kartach swoich pamiętników gorzkości i poczucia porażki.

Na fali wzruszenia po katastrofie smoleńskiej pojawiło się mnóstwo głosów mistycyzujących i próbujących uzasadniać sens tego tragicznego wypadku: „za wolność trzeba umierać”, „śmierć na służbie”, „znak od Boga”. Najbliższa jest mi ta trzecia interpretacja. Rzeczywiście był to znak od Boga lub od losu – jak kto woli. Znak krzyczący i upominający – dość dziadowskiego państwa. Dość pogardzania procedurami. Dość improwizacji. Dość bezsensownej walki politycznej, na ołtarzu której poświęca się wszystko. A ja po roku mam wrażenie, że znaleźliśmy się w sytuacji odwrotnej do tej z roku 1939. Stworzyliśmy państwo, które nie potrafiło ocalić życia swojemu najwyższemu urzędnikowi, a sami, jako naród, pograżyliśmy się w naszych zwyczajowych alienacjach. Jedni zamknęli się jeszcze bardziej w życiu ściśle prywatnym, inni postanowili dać wyraz bezproduktywnej

egzaltacji, której owoce duchowe miały wynagrodzić owoce kolejnego bolesnego upokorzenia narodowego, jeszcze inni znaleźli przyjemność w bezlitosnym wyśmiewaniu tych drugich.

W czasie, gdy ta straszna katastrofa się wydarzyła, mieszkałem, podobnie jak Bobkowski w roku 1939, u ciotki Francji. Przeszedłem przez wszystkie etapy traumy posmoleńskiej, choć w trochę innej kolejności niż większość społeczeństwa. Na początku była obojętność i otepienie. Potem przyszedł gniew i mistycyzm. Później zniecierpliwienie i chęć wyśmiewania narodowych odruchów. Ale w końcu, obserwując inne formy życia, doszedłem do wniosku, że żadna z tych dróg nie prowadzi do niczego dobrego. Nie możemy stać się na wieczność zakładnikami trumien i oddać żałobnym łkaniom. Nie możemy jednakże pozwolić również na to, aby życiem naszego państwa kierowała nadal niekompetencja i cynizm. Tylko że ta nowa forma, jaką będziemy chcieli Polsce nadać, nie może powstać przeciwko komuś. To nie powinno być narzędzie zemsty i odwetu nad tą częścią społeczeństwa, która nie podziela naszych ideałów. Musimy budować Polskę dla wszystkich – Polskę demokratyczną i inkluzywną, będącą w stanie udzielić pomocy i schronienia zarówno swoim obywatelom jak i tym, którzy się u nas pojawią w gościnie i zaakceptują nasze formy życia.

Andrzej Bobkowski doskonale wychwycił pewien kontrast. O ile francuskie społeczeństwo w obliczu narodowej tragedii zachowało względny spokój, jedność a nawet pogodę ducha, o tyle polska diaspora pograżyła się na powrót w gorszących kłótniach, utrzymywała istniejące podziały klasowe i miała tendencję do zrzucania winy na wszystkich,

prócz własnego środowiska. W jednym tylko była zgodna – w wyśmiewaniu, potępianiu i odsądzaniu od czci państwa, w którym aktualnie znalazła schronienie.

Artykuł pierwszy francuskiej konstytucji zawiera zdanie: „Republika akceptuje wszelkie przekonania”. Oczywiście, można się zżymać na ten slogan w kraju, w którym państwowa ideologia jest dość jasno określona i ma dość konkretne korzenie. Ale dla mnie jest to przede wszystkim zachęta do tolerancji, do wzniesienia się dla dobra państwa ponad ograniczające nas spory. Również pierwszy artykuł naszej ustawy zasadniczej jest zdaniem o podobnym sensie : „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”.

To apel skierowany w pierwszym rządzie do polityków. Najwyższy czas skończyć z traktowaniem argumentów jako amunicji do wystrzelenia w kierunku przeciwników. Medialne przedstawienia powinny zostać zastąpione dyskusją, w ramach której będzie wykształcał się pewien kompromis – zwiastun przyszłego ładu i fundament struktur, z jakimi będzie mógł się utożsamiać każdy obywatel naszego państwa i w ramach których będzie mógł odnaleźć schronienie.

Tak siedzę sobie przed komputerem i piszę te slogany zainspirowany do nich nową lekturą i własnymi obserwacjami. Naiwnie wierzę, że odniosą jakiś skutek. Ale być może właśnie od tego należałoby zacząć: od powtórzenia sobie codziennie rano kilku sloganów, zanim uderzymy kogoś w twarz naszą żalobą, albo kopniemy brakiem wrażliwości. I tu pojawia się odpowiedzialność dziennikarzy, pisarzy, blogerów intelektualistów, reżyserów i artystów: ile w naszym przekazie jest własnych poglądów, a ile konformizmu wobec oczekiwań czytelników?

Bobkowski zwraca wielokrotnie uwagę na nieostentacyjne bogactwo Francuzów i państwa francuskiego, które pomaga przetrwać trudny czas. To bogactwo i solidarystyczna jego dystrybucja nadają patriotyzmowi wymiar bardziej realny. Przestaje on już być pozbawionym nadziei czczeniem narodowych trumien i bezsensownych rzezi przeszłości, ulotnym marzeniem, za które można tylko umrzeć, a staje się namacalną relacją wiążącą obywatela z macierzystą strukturą. Jeżeli chcemy, aby Polska dalej istniała, aby zachowała swą jedność terytorialną i moralną, musimy to bogactwo wspólnie wytworzyć, ale i nauczyć się nim dzielić tak, aby nie było wśród nas ludzi jawnie poszkodowanych. Bo prawdziwy patriotyzm powinien się po prostu opłacać. Wiedzą o tym doskonale liczne dzieci i siostrzeńcy cici Francji.

Łukasz Maślanka